

# Martyna 7

## Rozdział 7

*W którym okazuje się, że slogan „Ratować świat” niekoniecznie musi się odnosić do naszej poczciwej planety, a ignorancja Ziemi w stosunku do innych cywilizacji niekoniecznie musi zaprocentować błogim, galaktycznym i świętym spokojem*

Przez chwilę stała niezdecydowana, nie wiedząc cóż ma czynić z tak mile rozpoczętym dniem i – niepomna wagi misji zarchiwizowanej tuż obok zaległości czynszowej z tytułu użytkowania mieszkania własnościowego – postanowiła popływać w basenie. Woda wysyłała w jej stronę figlarne błyski i szemrząc upojnie strumykami spływającymi po skalnej ścianie, zdawała się oferować najlepszą z alternatyw na spędzenie dnia. Piasek zbiegający się z wodą nieomal parzył, co mile kontrastowało z chłodem błękitu. Martyna weszła do basenu i zaczęła się pluskać jak zwykła to czynić niegdyś, w zamierzchłej przeszłości, podczas pobytu nad Bałtykiem. Różnicą była jedynie temperatura wody i niższy poziom adrenaliny związany z prawdopodobieństwem poharatania stóp o szczerzące się, ostre zęby potłuczonych butelek po piwie „Amber”. Czy to właśnie wtedy w helskim kurorcie Martyna nabrała głębokiej niechęci do piw zakapslowanych w brązowych butelkach? Trudno dziś dociekać, zwłaszcza że sama Martyna też pewnie mogła sobie nawet nie uświadamiać tej hipotetycznej traumy z dzieciństwa. W tych dawnych czasach w centrum jej pożądaniami tkwiły bowiem oranżadki w proszku i „Ptyś”.

Wypierając myśli o przysmakach PRL-u, nasza niedzielna pływaczka postanowiła podpłynąć do skały, która wyznaczała

kraniec basenu z dwóch stron. Skała była plastikowa, co nasza bohaterka ustaliła organoleptycznie, nie dziwiąc się przy tym zbytnio. Nie da się ukryć, że system kamer i podstępna działalność komputerów wskrzesiły w niej stosowną dawkę nieufności.

Podejrzane było obecnie wszystko, łącznie z ich zagadkowym milczeniem od czasu skonsumowania przez Martynę jajecznicę ze szczypiorkiem. Ściana, pomimo swojej ewidentnej sztuczności, była mistrzowsko zaaranżowana. Z licznych napełnionych ziemią kieszeni wyrastała bujna roślinność, której soczysta zieleń wiła się wokół maleńkich strumyczków wypływających z niewielkich otworków z pomocą pomp, zapewne ukrytych za plastikową formacją. U zbiegu ścian, na niewielkiej półeczce siedziała żaba. Siedziała bez ruchu i cierpliwie wypływała z otwartej paszczy kaskady wody. W jej pobieżnie zakamufLOWANYM roślinnością tyłku tkwiła końcówka gumowego węża ogrodowego, więc Martyna w pierwszej chwili uznała, że ma do czynienia z ozdobą oczek, wielce popularną w Europie Środkowej. Z natury wrażliwa, w odruchu miłosierdzia sięgnęła ręką w dalsze rejony figurki i wyszarpnęła żabie rurkę z dupska. Z poczuciem spełnionego obowiązku odwróciła się z zamiarem odpłynięcia od powyższej perwersji i wygrzania bladego ciała na leżaczkę. Odrobina opalenizny zdecydowanie by się przydała.

– Nie opalisz się. To sztuczne światło, jak wszystko tutaj! – rozległ się zza jej pleców skrzek.

Martyna wrosła w dno basenu i powoli odwróciła się w stronę źródła zardzewiałego głosu. Miała świadomość, że jej życie od jakiegoś czasu biegnie anormalnym torem, ale nie spodziewała się, że Pan Żab, któremu właśnie wyciągnęła rurkę z tyłka, przemówi do niej i to w momencie, gdy zamierzała wypełznąć na brzeg i racjonalnie podejść do zadania, które wyraźnie na nią czekało.

– Panie Żab, ty gadasz? – wyrwało się spod serca Martynie.

– Panie Żabo! – sprostował z godnością Pan Żab.

– A, tak, przepraszam cię, Żabie... to znaczy Żabo, uprzejmie. To tylko taki bezwiedny nowotwór słowotwórczy – odparła pokornie nasza niedoszła psycholożka.

– Że jak? – zagubił się wyraźnie Pan Żab.

– Nieważne, później wytłumaczę – powiedziała pospiesznie Martyna. – Powiedz lepiej, dlaczego ożyłeś, jak wyjęłam tę rurkę?

Żab kręcił chwilę odzyskanym zadem i otworzył otwór gębowy z zamiarem wygłoszenia sensownej odpowiedzi. W tej samej w chwili z jego pyska wytrysnął strumień wody.

– Przepraszam! To z przyzwyczajenia! – załkał łamiącym się głosem Żab, po czym kompletnie się rozkleił.

Opuśćmy na chwilę kilka żenującą scenę słabości zmaltretowanego Żaba, by zająć się szczegółowym wyjaśnieniem fenomenu nowotworów słowotwórczych.

### Nowotwory słowotwórcze

Trudno jednoznacznie ustalić genezę powstania określenia, jednak idąc tropem nieprzeciętnego umysłu Martyny możemy dokładnie wyjaśnić znaczenie owego sformułowania. Należy zacząć od tego, że już samo określenie „nowotwór słowotwórczy” jest nowotworem słowotwórczym i odnosi się do dziwacznych, lecz wielce adekwatnych sformułowań, które na fali dowcipu i przyzwyczajenia przesiąkają podstępnie do polszczyzny, jakiej nigdy w życiu nie zaakceptowałby profesor Miodek. Choć, jak by się zastanowić, nie jest to pewne, zważywszy na jego światły umysł i głęboką chęć szczegółowego wyjaśnienia genezy kolokwializmów wszelkiej maści.

Wracając jednak do tego unikalnego określenia, musimy położyć głęboki nacisk na uwarunkowania środowiskowe. Jeśli chodzi o Martynę, to wielokrotnie przekonywała się, że przebywanie z rodziną niesie za sobą nieodzowne narodziny kolejnych nowotworów słowotwórczych, które jednocześnie zawierając w sobie kwintesencję wielu zdań, wprowadzały w jej bogaty słownik powiedzenia, których nie rozumiał nikt, a które Martyna uporczywie i bezwiednie stosowała w rozlicznych życiowych konwersacjach. I to, co należy uczciwie przyznać, nie ułatwiało jej kontaktów międzyludzkich.

Jednym z czołowych nowotworów słowotwórczych rodziny Martyny jest sformułowanie „W następnym odcinku”. Narodziło się z połączenia lubości do oglądania seriali i cyklicznych zjazdów rodzinnych i oznacza mniej więcej tyle co: „Gdy ponownie spotkamy się w tych samych okolicznościach i w tym samym miejscu”. To miejsce to przeważnie rajska sceneria działkowa, w której zaciszu „Pan Żab” bezszelestnie obejmuje w posiadanie kolejne liście „lyliji” i przeskakując w oczka dał, spieszy się „jak kot z wywieszonym pęcherzem”.

Ostatnie sformułowanie zawdzięczamy przenikliwości niejakiej kuzynki Katarzyny. Jeśli nadal sprawa nie jest jasna, to łopatologicznie możemy powyższy wywód przyrównać do nowotworów muzycznych, czyli fragmentów pieśniarskich, w których nuty z zażenowania wałą łbami po pięciolinii, lecz przyplątują się podstępnie i zdradziecko wypełzają w postaci nucenia i gwizdów z jaźni opętanego.

– Wyluzuj, Żabie! – powiedziała współczująco Martyna.

Żab zassał jęzorem ostatnie krople z kaskady, która – jak by nie było – nadeszła od strony żabiego tyłka i rozglądając się z przyzwyczajenia za muchami, zogniskował ostatecznie rozbiegane spojrzenia na zatroskanej twarzy naszej przyszłej spowiedniczki. Martyna dryfowała

współczująco w komfortowo ciepłym lazurze basenu i, prawdę mówiąc, nawet nie była w stanie ogarnąć ogromu żabiego cierpienia. Płaz beknął żałośnie, wypluwając resztki mułu i znieruchomiał.

– Kim jesteś? – zapytała Martyna.

– Jestem namiestnikiem SigmaPi. – wyskrzeczwał Żab, prostując się z godnością.

– A skąd się tu wzięłeś?

– Przybyłem z SigmaPi... – zaczął ostrożnie Żab.

– To już wiem! – niecierpliwie wcięła się Martyna.

– No więc kiedyś syn Szefa zorganizował imprezę i Lucek mnie podkusił, żebym wpadł.

– Kim jest ten Lucek? – zapytała zaintrygowana pływaczka.

– Nie mam pojęcia! Chwila, w której zwrócił na mnie swoje oczy, była tą, która zbiegła się z wsadzeniem... – Żab zaszłochał i wyraźnie się skurczył na skalnym postumencie. – Nieważne! Lucek jest podstępny i niech to w tej chwili wystarczy.

Martynie było żal sponiewieranego Żaba, ale palące pytania wciąż pozostawały bez odpowiedzi.

Zaczerpnęła powietrza, by ustalić raz na zawsze priorytety, lecz Żab ubiegł jej myśli.

– Słuchaj, ja muszę ratować Świat – powiedział uroczyście.

– Ja też! – odparła na to Martyna, mile połączona zbieżnością wytycznych, i dodała. – Obawiam się, że muszę uratować Ziemię.

Żab zanurzył tyłek w ciepłej i kojącej drastyczne wspomnienia wodzie, po czym wybałuszył oczy i wybuchnął serdecznym,

niepohamowanym rechotem. Z jego wypukłych oczu Martyna odczytała kompletny brak współpracy w sprawie jej macierzystej planety. Zraniona w swych uczuciach wpatrywała się w rozrehotaną gębę płaza i starała się odgonić od siebie palącą potrzebę wydobycia lodówki zroszonej puszczyki.

– Słuchaj, ja rozumiem sentyment do tej planetki, ale wiesz, syn Szefa tak tam nasmrodził, że już się nic nie da zrobić. Są większe i ważniejsze planety, które trzeba odzyskać. Możemy to zrobić! Wystarczy pokonać Lucka! – podsumował optymistycznie Żab.

– Byłeś kiedyś na Ziemi? – zapytała Martyna.

– No pewnie! A kto tam nie był! W czasie studiów bawiliśmy się tam do upadłego – rozmarzył się

płaz.

– I co? Nie martwi cię, że przepadnie wszelki byt i sztuka wielu pokoleń? – dodała aksamitnym

głosem nasza podróżniczka.

– No weź mnie nie rozwalaj! – zarechtał Żab. – Nie bierz tego do siebie, ale wszyscy wiedzą, że

Ziemia to tylko żałosna i obłana praca dyplomowa syna Szefa.

– Ziomusia? – doprecyzowała Martyna.

– Tak go zwali po tym, gdy wrócił z Jamajki – potwierdził z zadumą płaz.

Martyna, przytłoczona ogromem banału własnej egzystencji, wyjęła z wody swoje proporcjonalne dłonie i przez chwilę przyglądała się pomarszczonej skórze palców. Odkrywając w siatce zagięć sens swojego istnienia, westchnęła ciężko i utkwiała badawcze spojrzenie w Żabie.

– Ty! Po co ja tu jestem właściwie? – rzuciła pokerowe pytanie

Martyna.

– Nie wiesz? – zarechotał amator gumowych rurek.

– Nie wiem i pewnie od ciebie się nie dowiem. Spędziłeś parę wieków z rurką w tyłku, więc nie

masz o niczym pojęcia – wycedziła mściwie nasza bohaterska Ziemianka.

Żab zeskoczył ostrożnie na sąsiedni podest.

– Słuchaj! Jestem wdzięczny za wyjęcie rurki, więc wyjaśnię łopatologicznie: nie będzie „następnego odcinka”! Rozumiesz? Finito! – roześmiał się mściwie. – Ziemia zdechła, a ty się ciesz, że jesteś tutaj. Komputery realizują program unicestwienia planety. W ogólnym rozrachunku jest gówno warta i nikomu do niczego niepotrzebna.

Martyna uchwyciła pomarszczonymi stopami piaszczyste dno i zwinęła dłonie w pięści. Podeszła powoli do Żaba i zwodniczo topiąc uśmiech w jego wybałuszonych satysfakcją oczach, szybkim ruchem wetknęła mu w tyłek końcówkę pompy ciśnieniowej. Płaz znieruchomiał i z żalnym jękiem zaczął wylewać z siebie lazururowe kaskady rozpuszczonych skarg. Nasza bezkompromisowa bohaterka wyszła z basenu i spojrzała w górę. Słońce powolutku zmierzało w stronę zachodu. Dziewczyna opadła ciężko na leżak i oddała się regeneracyjnej drzemce. Gdy ponownie otworzyła oczy, uznała, że sen jest lekarstwem na wszystkie utrapienia i znacząco ją przybliżył do chwili wyjęcia piwa z lodówki. Zostało zaledwie kilka minut do zmierzchu.